

Nieuleczalna choroba

Amerykę Północną pokrywa siatka ponad 330 tysięcy kilometrów torów kolejowych. Najdalej na północ kolej dociera właśnie tu, do Hay River – dowiadujemy się od Stu, miejscowego emeryta, który widząc wielkość naszych plecaków, zgarnął nas z ulicy swoim pickupem. Zaoferował przejażdżkę po mieście i pomoc w dotarciu na pole namiotowe. Nie odmówiliśmy.

– Lato zawsze odsłania niedoskonałości. Zimą, pod śniegiem, nic nie widać. Spójrzcie na ten podziurawiony parking i zardzewiałą bramę tam, obok torów – wskazała lewą ręką, która momentalnie wróciła do kompulsywnego układania siwej brody. – Każdej zimy przez ponad trzydzieści lat mój tir ładowany był tutaj cargo. Obsługa kolei odpowiadała za załadunek. Moim zadaniem było przewieźć go jedną z dwóch tras. Pierwsza prowadziła nad Ocean Arktyczny wzdłuż rzeki Dehcho. Po drodze robiłem przystanki na rozładunek. Druga była krótsza, raptem 150 kilometrów, na drugą stronę jeziora do Yellowknife, ale to ona częściej przysparza problemów.

Zaciekawiony zbombardowałem Stu pytaniami dotyczącymi jego pracy. Uśmiechnął się, złapał za daszek swą czerwoną czapkę, wcisnął ją mocniej na głowę i twarz przystroił w taką minę, jaka towarzyszy

dorośłym starającym się wytłumaczyć coś prostego dzieciom, których nie chce się urazić.

– Hay River położone jest na południowym brzegu Wielkiego Jeziora Niewolniczego. To jezioro gigant, matka całego naszego regionu: Terytoriów Północno-Zachodnich. To z niego rodzi się najdłuższa rzeka Kanady. Na mapach świata znana jest jako MacKenzie, ale my nazywamy ją zgodnie z pierwotną nazwą nadaną jej przez Pierwsze Narody – Dehcho. Każdego roku, około października, jeziora i rzeki zamarzają. Na ich powierzchni tworzy się kilkumetrowa warstwa lodu – tak gruba, że bez problemu jest w stanie utrzymać na sobie pędzącego po niej tira. To, co latem było otwartym akwenem, zimą staje się drogą. Na wiosnę, około kwietnia, przychodzą roztopy. To niebezpieczny okres, bo droga dalej jest przejezdna, ale lód robi się coraz cieńszy. Gdy prowadzi się tira, czuć, jak faluje pod kołami. Trzeszczy i skrzypi. Władze regularnie testują jego grubość, ale wypadki się zdarzają. Rok temu mój bliski kolega Joe dojeżdżał już do Yellowknife, kiedy lód skruszył się pod jego naczepą. Ledwo zdążył wyskoczyć z kabiny i odbiec jak najdalej. Gdy się obrócił, jego tir dryfował już na sztorc jak góra lodowa i powoli schodził na dno. Do dzisiaj go nie wyłowili. Ale dość już o mnie, powiedzcie lepiej, skąd przybywacie i co was tu sprowadza? – zapytał, przecierając zaczerwienione oko i rozpinając jeden z guzików kraciastej koszuli.

– Planujemy rozpocząć tu w Hay River nasz spływ rzeką MacKenzie... znaczy się... Dehcho.

– Nie przejmuj się nazwą. Mi też zajęło dobrych kilka lat, żeby przyzwyczaić się do nazw miejsc nadanych przez Pierwsze Narody. I tak należę do nielicznych, bo większość Kanadyjczyków dalej nie używa rdzennego nazewnictwa. Uważam jednak, że jesteśmy to winni Pierwszym Narodom. Szczególnie po zbrodniach, jakich rząd Kanady przez lata się na nich dopuszczał. To jest jednak proces, proces leczenia ran, który zajmie długie lata. Zobaczycie sami, im więcej czasu spędzicie tu na Północy, tym bardziej skomplikowany będzie się wam wydawał obraz tutejszej rzeczywistości. Wiecie, dobrze zgadłem, że jesteście wioślarzami! Tu nikt inny nie przyjeżdża z plecakiem. Miałem zapytać, dokąd sobie życzycie, żeby was podwieźć, ale zgaduję, że do Douga?

Stu się nie mylił. Faktycznie, byliśmy umówieni z Dougiem. Nasze krótkie spotkanie było wprowadzeniem do uniwersalnych prawd, jakich doświadcza się na Północy. Po pierwsze – każdy zna każdego. Po drugie – każdy każdemu pomoże w potrzebie. Po trzecie – każdy ma swoją historię i zasób opowieści. Niosą się one przez te ziemie jak pyłki dzikich kwiatów i nikt nie wie, gdzie i kiedy opadną.

Hay River zamieszkuje niespełna cztery tysiące mieszkańców, mimo to miasteczko zajmuje całkiem spory obszar. Nie znajdziemy tu typowych atrakcji turystycznych. Nie ma muzeów, wycieczek po jeziorze, zabytkowej czy chociażby ciekawej architektury. Nawet wspomniana stacja kolejowa nie obsługuje pasażerów.

Najłatwiej tu dotrzeć z północy – wzdłuż drogi, jaka prowadzi z Yellowknife, okrążając od zachodu Wielkie Jezioro Niewolnicze. Najbliższe duże miasto to Edmonton w prowincji Alberta oddalone o tysiąc kilometrów na południe.

Z perspektywy nadchodzącej wyprawy Hay River stanowiło idealną bazę do przygotowań. Dwa sklepy spożywcze, sklep z artykułami przemysłowymi, sklep sportowy z wypożyczalnią sprzętu wodnego i pole namiotowe nad samym brzegiem jeziora. To wszystko, czego potrzeba do rozpoczęcia pielgrzymki, której kres stanowić miały wody Oceanu Arktycznego.

Był rok 2010, kiedy Michelle Swallow wsiadła, nad brzegiem jeziora w Hay River, na pokład pożyczonego od ojca canoe. Towarzyszyli jej Tina, przyjaciółka ze studiów, oraz Fred – czteroletni pies rasy border colie. Dzień był wymarzony na start. Chmury sunęły po niebie w regularnych odstępach, kontrolując ciepło czerwcowego słońca. Lekka bryza nie psuła warunków na jeziorze, a jednocześnie trzymała komary w impasie, nie pozwalając im wzbić się w powietrze. Michelle zajęła miejsce na dziobie, natomiast Tina z tyłu – odpowiadała za sterowanie i nawigację. I choć Michelle regularnie zmieniała się z Tiną, Fred nie miał za bardzo wyboru – leżał na niebieskich beczkach wypełnionych jedzeniem i sprzętem pomiędzy dwiema

kobietami. Kiedy odbiły od brzegu, droga prowadziła już tylko w jedną stronę, do oddalonego o prawie dwa tysiące kilometrów Tuktoyaktuku – osady Inuitów nad Oceanem Arktycznym.

Pierwszego dnia canoe dopłynęło do Point La Roche – miejsca, gdzie jezioro rozpoczyna swoją transformację w rzekę Dehcho. W obozie rozbitym na niewielkim piaszczystym półwyspie Michelle uzupełniała swój dziennik zapisem przeżyć z minionego dnia. Tego pierwszego wieczoru, gdy wpatrywała się w odbijające się w wodzie promienie niezachodzącego słońca, Michelle wpadła na pomysł. Zamiast opisywać przeżycia w formie książki, po powrocie zlepi ze sobą zapiski z dziennika, najważniejsze informacje, opisane mapy, lokalne legendy i stworzy pierwszy w historii przewodnik dla wodniaków marzących o spłynięciu Dehcho.

Kilka lat później, pewnego zimowego wieczoru, trafiła do mojej skrzynki pocztowej paczka z Kanady. Zdarta koperta bąbelkowa formatu A4 zdradzała jasnoniebieską sztywną okładkę. Zawartość była obietnicą nadchodzącej przygody. Był to przewodnik autorstwa Michelle Swallow po najdłuższej rzece Kanady. Wertowałem go strona po stronie, aż z czasem poznałem go niemal na pamięć. Zawarte w nim mapy były wystarczające do nawigacji. Każda z położonych przy rzece społeczności została dokładnie opisana, co pomaga w planowaniu punktów zaopatrzeniowych. Liczne fotografie przedstawiały, czego można się spodziewać,

spływając Dehcho. Ślady niedźwiedzi odcisnięte w błocie, chmury insektów obsiadające kapelusz, lustrzana tafla rzeki odbijająca w sobie wiosło i krwawiące niebo, które nie pozwala odróżnić dziś od jutra. Wszystko to rozbudzało mój apetyt tak silny, że zagłuszał pewien szczegół – żadne z nas nigdy wcześniej nie pływało w canoe.

Jeśli chodzi o wyprawy, kwestie bezpieczeństwa traktuję śmiertelnie poważnie. Może zatem wydawać się czytelnikowi poniekąd ignoranckie lub wręcz niepoważne, że zdecydowaliśmy z Karoliną rzucić się, dosłownie, na głębokie wody i zmierzyć się z Dehcho na własną rękę. Na tę wywracającą życie (choć na szczęście nie canoe) decyzję złożyło się kilka czynników. Oboje mieliśmy za pasem kilka samodzielnych wypraw, na których na własną rękę przemierzaliśmy najdziksze zakątki naszej planety. Dwumiesięczny trawers gór Papui Nowej Gwinei czy też miesiąc spędzony w Himalajach w poszukiwaniu śnieżnej pantery nauczyły nas wiele o przebywaniu w dzikim środowisku. Jeśli chodzi o sporty wodne, nie byliśmy kompletnymi laikami, bośmy mieli za sobą kilka drobnych spływów kajakowych. No i to, że od blisko dekady mieszkamy w Szkocji, a tam wypadły w ogromne przestrzenie są częścią naszej cotygodniowej rutyny. Nie będę też ukrywał, ani wstydził się tego, że jestem samoukiem. Nie nadaję się na kursy czy zdobywanie szczebelków na drabinie uprawnień, które dopiero po latach zaświadczą, że mogę przejść do

kolejnego etapu. Nie rzucam się nigdy na nic ekstremalnego, nie toleruję ryzyka – te dwie kwestie zapewniają mi bezpieczeństwo. Reszta to umiejętności zdobyte empirycznie, wiedza o środowisku nabyta ze szkolnictwa wyższego i książek oraz wyczucie wyprawowe. Na to ostatnie składają się logika, logistyka i pasja.

Wybór rzeki Dehcho jako poligonu doświadczalnego nie był wcale przypadkowy. Chcieliśmy zanurzyć się w środowisku znanym z książek Jacka Londona. Poczuć, co to znaczy przebywać w świecie, w którym człowiek nie wie, gdzie jest, w którym czuje się mały. Czuć wokół siebie obecność niedźwiedzi i wilków, podglądać piszczące w gniazdach bieliki amerykańskie i usłyszeć uderzenie bobrego ogona o powierzchnię wody. Celem było zjednanie się z tym środowiskiem w formie świadomej medytacji. Do tego celu ta rzeka wydawała się idealna. Na całej jej długości nie znajdziemy żadnej białej wody, która sprawiałaby trudności techniczne. Żadnych siermiężnych przenosek, które wymagałyby targania łodzi i ekwipunku dla ominięcia przeszkód. I do tego wisienka na torcie – regularne spotkania ze społecznościami zasiedlającymi tereny nad rzeką, co dałoby nam wgląd w kulturę Pierwszych Narodów, a przy okazji umożliwiło uzupełnianie zapasów jedzenia w beczkach.

Spływ Dehcho według szacunków miał nam zająć około dwóch miesięcy. Czy można wyobrazić sobie lepszy kurs, lepszą okazję na zdobycie cennego doświadczenia? Przyznam od razu otwarcie – popełniliśmy na

tej wyprawie sporo błędów, szczególnie w jej pierwszych dniach. Było to jednak częścią procesu, kursu, którego organizatorem były Ziemie Północy. Były i są one dla mnie tym, czym Platon dla tych, którzy uczęszczali do jego Akademii – najwspanialszym nauczycielem, który cierpliwie wykladał filozofię tym, którzy tylko odważą się go posłuchać.

W towarzystwie Stu spędziłyśmy całe przedpołudnie. Zrobiliśmy zakupy, zrzuciliśmy bagaże na polu namiotowym. Kończąc objazdówkę Hay River, a właściwie Xát'odehchee, bo pod tą nazwą znane jest wśród Pierwszych Narodów, Stu podrzucił nas do blaszanego baraku przy szutrowej drodze na obrzeżach miasteczka. Nie mógł już nam dłużej towarzyszyć, gdyż zbliżała się godzina wizyt w szpitalu, w którym leżała jego chorująca żona. Uścisnęliśmy się na pożegnanie, po czym lawirując między kajakami, wiosłami, beczkami i szczekającym psem, weszliśmy na umówione spotkanie z Dougiem. To on wybrał dla nas canoe.

Douga Swallowa znają tu wszyscy – od ponad dwudziestu lat prowadzi w Hay River sklep ze sprzętem do sportów wodnych. W swojej ofercie ma też wypożyczanie kajaków i canoe. Całą zimę wymieniałem z nim maile z zapytaniami dotyczącymi spływu Dehcho. Na każde z moich dziesięciu słów Doug odpowiadał jednym – trafnie, w punkt i do rzeczy, wpisując się w pewien

stereotyp ludzi zamieszkujących Północ. Słowa, historie i czyny kosztują energię, której każdy ma ograniczony zasób. Trzeba niejako zasłużyć sobie na wylewność, która względem przybyszy z Południa zdarza się rzadko. Południe żyje szybko, za szybko. Południe wymaga tego, czego na Północy nie sposób zagwarantować: punktualności, przewidywalności i wygody.

Doug przywitał nas delikatnym, niewymuszonym uśmiechem. Poruszał się po sklepie, szusując obuwem po kafelkach, wyraźnie manifestował problemy z kręgosłupem. O ile większość naszego społeczeństwa zмага się z problemami szkieletowymi wynikającymi z siedzenia w miejscu, o tyle na Północy niemal każdy zarzyna swoje kręgi fizycznie bez względu na profesję. Weźmy chociażby takiego pilota samolotu. W liniach lotniczych ruchy fizyczne pilotów są mocno ograniczone. Na Północy piloci mają dokładnie odwrotnie i sam przelot jest aktywnością najbardziej relaksującą. Załadunek, rozładunek, odśnieżanie, cumowanie, czyszczenie samolotu, czasami naprawa drobnej usterki – wszystko to sprowadza się do aktywności fizycznej. W przypadku Douga odzywały się lata spędzone na pracy w magazynach, a w drugiej połowie życia na przerzucaniu sprzętu wodnego. Kilkuosobowe canoe ze wzmocnionego włókna szklanego waży nawet sześćdziesiąt kilogramów.

Od małego Doug kochał przebywać na wodzie. Miał na koncie wiele spływów w odległych zakątkach

Północy, takich, do których dotrzeć można tylko wynajętym wodolotem. Jego ulubiona rzeka to Hood – schowana intymnie pomiędzy większymi rzekami wpadającymi do Oceanu Arktycznego. Wspomnienie kanionu tej rzeki wyraźnie zaszkliło mu oczy. Doug był tam w towarzystwie swojej przyszłej żony. Z nutą nostalgii opiewał tygodnie nad Hood jako najpiękniejsze w życiu. Szybko się jednak poprawił, bowiem rok później na świat przyszła jego córka – Michelle. I to z nią spędził wiele weekendów na wodzie, zaszczepiając w niej bakcyła, który pewnego roku zażąda od niej spływu Dehcho. I popłynie, z Tiną i Fredem, dając światu przewodnik po najdłuższej rzece Kanady.

Przewodnik ten zajmował w sklepie Douga centralne miejsce tuż obok kasy. Spod szklanej lady Doug wyciągnął dla nas kilka koniecznych akcesoriów, które musieliśmy zakupić: spreje na niedźwiedzie, race hukowe i siatki przeciw insektom. W cenie wypożyczenia canoe dostaliśmy kamizelki ratunkowe, liny, wiadro, gąbkę, trzy wiosła i świstek papieru. Ów świstek, odręcznie napisany numer, mieliśmy okazać pod koniec wyprawy pod wskazanym adresem w Tuktoyaktuku. Dzięki niemu canoe wraz ze sprzętem będzie mogło wrócić do Douga na barce, która pod koniec lata nawiguje obciążona cargo w górę rzeki.

Doug zaprowadził nas na oględziny naszej łajby – wykonanego w Abbotsfordzie przez firmę Clipper modelu Tripper. Pierwszy raz widziałem canoe na żywo.

Było dużo większe niż się spodziewałem – mierzyło 17,6 stóp, czyli pięć i pół metra. Wykonane z włókna szklanego, ważyło 34 kilogramów. Leżało na ziemi do góry brzuchem i nie miało właściwie żadnych śladów zadrapań. Przejechałem dłonią po jego smukłej, żółtej powierzchni, niejako witając się z obiektem, który tak bardzo chciałem oswoić. Chwyciliśmy z Karoliną za oba jego końce i obróciliśmy o 180 stopni. Ukazały nam się dwa białe siedzenia, takie jak w traktorze, co nie jest standardem wśród kanadyjek. Zazwyczaj mają siedzenia z poprzęplatanej jak kosz wiklinowy taśmy. Między siedzeniami było dużo miejsca, w które według producenta mogliśmy włożyć ćwierć tony ekwipunku. Ładowność to główny powód, dla którego to właśnie canoe jest jednostką idealną na długie wyprawy w kanadyjskiej dziczy. Łatwiej sterować kajakiem i szybciej pokonuje się nim dystanse, jednak to na canoe bez problemu załadujemy, czego tylko dusza zapragnie.

– Pływaliście już na canoe? – zapytał Doug dla formalności.

– Tak szczerze, to nasz pierwszy raz. Ale w dziczy, będąc zdani na siebie, czujemy się zupełnie komfortowo.

– To dużo ważniejsze. Żeby dopłynąć do celu, potrzebujecie nie tyle umiejętności, ile dyscypliny i ciężkiej pracy. Canoe to wdzięczna jednostka. Szybko się nauczycie. Napiszcie do mnie jakąś wiadomość co tydzień lub co dwa. Żebym wiedział, gdzie szukać mojego canoe, jak coś wam się przytrafi – Doug zaśmiał

się ze skrzyżowanymi na piersi rękami, po czym umówił się z nami na dostarczenie łajby następnego dnia nad jezioro.

Pole namiotowe w Hay River jest wygodnie położone w lesie świerkowym nad samym jeziorem. Kiedy wróciliśmy tam po dniu przeznaczonym na sprawunki, zauważyłem niedaleko recepcji mężczyznę w sile wieku, który wyciągał z wielkiej, zielonej torby metalowe pałaki. Łączył je jeden z drugim, tak jak składa się stelaż od namiotu, ale konstrukcja nie przypominała żadnej formy schronienia. Potem rozłożył na ziemi długi płat zielonej sztucznej skóry i gąbkę w kształcie wydłużonego rombu. Pomyślałem, że albo buduje klatkę albo to jakaś forma artystycznej ekspresji. Dopiero kiedy wyciągnął młotek i zaczął zbijać pałaki ze sobą, umiejscawiając je wewnątrz skóry, forma zaczęła nabierać kształtu. Budował... canoe. Zaciekawiony podszedłem z pytaniami.

– Czy to naprawdę będzie pływać?

– Tak jest. Norweska konstrukcja. Dostępna na zamówienie. Składanie tego to straszna męka, ale jednocześnie najlepsze rozwiązanie, żeby dostać się tu z Europy z własną łodzią – mężczyzna mówił z niemieckim akcentem, odkręcając palcami śrubkę od czarnego, plastikowego siedziska.

– Skoro tyle z tym roboty, to chyba wypada gdzieś dalej popłynąć, żeby czas spędzony na składaniu zwrócił się? – kontynuowałem, licząc na to, że mężczyzna zdradzi swoje plany.

– Zgadza się! Jutro o świcie wyruszam w stronę Oceanu Arktycznego wzdłuż MacKenzie. Kojarzysz te nazwy?

– Kojarzę. Jutro wypływamy razem w tym samym kierunku! – odpowiedziałem, wskazując palcem na Karolinę rozkładającą nieopodal nasz namiot.

– *Ah, so!* – wyszeptał po niemiecku pod nosem wyraźnie zaskoczony. – Jakie akweny przebyliście w canoe do tej pory? Wyglądacie mi na całkiem młodych.

– To będzie nasz pierwszy raz w canoe.

– *Ah, so!* – mężczyzna zaśmiał się pod nosem, obrócił głowę w stronę nieba i zamyślił się, wyraźnie zbierając się do kolejnej wypowiedzi, która jednak nie nadeszła.

– Masz dla nas jakieś rady? – wtrąciłem.

– Rady? Zastanówcie się dwa razy, zanim wypłyniecie! – odpowiedział bez namysłu.

– A to dlaczego?

– To jest choroba. Nieuleczalna choroba. Zaufaj mi, bo wiem co mówię. Jak raz wsiądziecie w to canoe tu, na Północy, już zawsze będziecie chcieli wsiadać w canoe i to tylko na Północy! Od tego nie ma ucieczki. Próbowiałem w życiu wszystkiego. Wspinałem się na ośmiotysięczniki, skakałem ze spadochronem, zapracowywałem się w niemieckim stylu w mojej firmie, jeździłem ze znajomymi na żagle, miałem też przygody z hazardem i alkoholem. I nic, zupełnie nic nie może się równać z tym, co przeżywa się tutaj, na Północy.

Ta ziemia to narkotyk, a canoe to wyjątkowy paszport, który pozwala tego wszystkiego doświadczyć. Tak że uważajcie, bo jak już raz to poczujecie, całe życie będziecie chcieli do tego wracać. Naprawdę wiem, co mówię – to moje trzydzieste lato na Północy.

– Mam nadzieję, że złapiemy gdzieś pana na rzece, żeby usłyszeć trochę opowieści z tych minionych lat – rzuciłem na odchodne, ściskając mężczyźnie dłoń i życząc mu powodzenia.

– Gerald. Mów mi Gerald.

Baribale w obozie

Czerwiec to miesiąc, w którym goście z całego świata odpowiadają na zaproszenie wysłane z Północy. Nad Wielkie Jezioro Niewolnicze przylatują, jako jedne z pierwszych, rybitwy popielate (*Sterna paradisaea*) z dalekiej Antarktydy. To smukłe ptaki, wyglądem przypominające mewy. Białe upierzenie elegancko zdobią czerwone nogi, czarna czapka i dziób w kolorze wina nalanego do kieliszka w słoneczny dzień. Determinacją i charakterem nie mają sobie równych w ptasim świecie. To do nich należy rekord najdłuższych migracji. Co roku odbywają pielgrzymkę, której trasa niejako wiedzie od bieguna do bieguna. Podążają za suto zastawionym przez naturę stołem, nigdy nie doświadczając surowej zimy i ciemności. Być może rybitwy popielate zdradzają swoim aktywnym trybem życia przepis na długowieczność. Dożywają czwartej dekady, co w świecie ptaków nie zdarza się często. W ciągu swojego szalonego życia pokonują ponad milion kilometrów i dosłownie nie potrafią usiedzieć w miejscu. Niczym sportowcy trenujący do olimpiady, rybitwy popielate muszą zadbać o dietę bogatą w kalorie i składniki mineralne. Jest to szczególnie istotne w okresie lęgowym i to właśnie dlatego ptaki te poświęcają blisko dwa miesiące życia

na turnus nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym, gdzie rybnych kalorii nigdy nie zabraknie i można je zdobyć z wyjątkową łatwością.

Do uczujących dołączają uhle garbonose (*Melanitta deglandi*) – stadne kaczki morskie, które przybywają nad jezioro z wód Pacyfiku. Wyglądem przypominają zmęczonego malarza. Na czarnym, aksamitnym upierzeniu odznaczają się białe worki pod oczami. Krańce ich drugorzędnych lotek umoczone są w białej farbie, a garbaty dziób to paleta, na której miesza się żółty z czerwonym, jakby to one miały odpowiadać za naniesienie pomarańczowych licheni na otaczające granitowe skały. Nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym zmieniają swoją dietę z małż Pacyfiku na skorupiaki i owady wodne, nurkując w ich poszukiwaniu przez ponad minutę. Co ciekawe, samice uhli przejawiają tzw. filopatię. Oznacza to, że wracają gniazdować w okolice własnych narodzin, gdyż czują niezwykle przywiązanie do ziemi, na której złapały pierwszy oddech. Podobnie czynili nasi przodkowie w Afryce, opierając na doświadczeniu ewolucyjnym decyzję o osiedleniu się w okolicach narodzin. Bez względu na to, czy mówimy o naszych przodkach czy kanadyjskich uhlach, jeśli udało się przetrwać aż do dorosłości, oznacza to, że miejsce narodzin musiało zapewniać dobre warunki do dorastania. Według tej logiki kolejne pokolenie powinno mieć zagwarantowane podobne szanse.

Swoją obecność potwierdzają też siewki szare, które dolatują z oddalonego o 12 tysięcy kilometrów

Urugwaju. Dystans nie jest im straszny. To wyborni lotnicy, którzy w czasie przelotów nad oceanem rozwijają prędkości dochodzące do 120 kilometrów na godzinę. Mimo że biesiada, która sprowadziła je nad jezioro, odbywa się przy niezachodzącym słońcu, siewki wystrojone są jak na wieczorny bal królewski. Samce wybrały na tę okazję czarno-biały smoking gustownie nakrapiany złotymi, błyszczącymi skrzydłami. Nie powinna nikogo zatem dziwić ich skłonność do tańca. Podczas godów wzlatują i opadają z lekkością motyla, przesuwają się w powietrzu jak po wiedeńskim parkiecie. Skomplikowanemu pokazowi akompaniują rytmicznym śpiewem. Nawet technika zdobywania pokarmu na Północy czyniona jest z charakterystyczną dla nich finezją. Siewki wzbijają się do lotu, a po chwili zatrzymują się raptownie i łapią nieczujne owady. Rodzicielstwo przychodzi im trudno. W połowie letniej uczty odlatują na Południe, jakby przeszkadzał im ton sierpniowej szaty Północy. Zostawiają za sobą młode, którym na własną rękę przyjdzie znaleźć drogę do Ameryki Południowej.

Kilkadziesiąt innych gatunków ptaków również pojawia się przy stole zastawionym milionami ryb i miliardami owadów. Brodziec żółtonogi (*Tringa flavipes*) przybywa z delty Orinoko w Wenezueli. To delikatny i czujny ptak brodzący, który broni gniazda z takim zacięciem, jakby bezpieczeństwo całego wszechświata zależało od ilości hałasu, jaki wytwarza. Przylatują również

ikony Północy – bieliki amerykańskie (*Haliaeetus leucocephalus*), które zimowały we wspólnotach przy ujściach termalnych rzek uchodzących do Pacyfiku w Kolumbii Brytyjskiej. Teraz nadszedł czas zaklepania sobie świerku do budowy gniazda i całodobowego rybobrania. Podobną motywację wykazują rybołowy przybyłe z Gwatemali, pelikany dzioborogie (*Pelecanus erythrorhynchos*) z Meksyku i sieweczki skąpopłetwe (*Charadrius semipalmatus*) z Kuby.

Wśród 26 tysięcy gatunków insektów również pojawiają się ucztujący. Prym wśród nich wiodą ważki, które dopiero w ostatnim czasie zostały zauważone przez naukowców³ jako gatunki migrujące. Dla nich jedno danie wyróżnia się w menu niczym schabowy z ziemniakami. To komary, których inwazja wzbogaca dietę setek gatunków ptaków, ryb i owadów. Ale dla ludzi odwiedzających latem Północ są one zmorą i postrachem. Armia komarzych pułków wydawała się szarżować prosto na plażę w Hay River w dniu naszego wypłynięcia.

Cały poranek turlaliśmy nad brzeg jeziora nasz ekwipunek. Duża, niebieska beczka o pojemności 120 litrów tak wypchana była jedzeniem, że nie dałoby rady wcisnąć

3 E. G. Schilling, K. J. Kardynal, H. Kundel, Z. Crews-Erjaveck, J. M. Zobitz and K. A. Hobson, *Phenological and isotopic evidence for migration as a life history strategy in Aeshna canadensis (family: Aeshnidae) dragonflies*, „Ecol. Entomol.” 46, 2021.

tam pojedynczej nitki spaghetti. Zmieściliśmy do niej po kilka kilogramów ryżu, makaronu, płatków owsianych, czekolady, dżemu, masła orzechowego i bakalii. Kilka tuzinów puszek z fasolą, groszkiem, tuńczykiem i kukurydzą. Szpary wypełniły saszetki ziemniaków w proszku, kawa, herbata, przeciery pomidorowe, batony i przyprawy. Łącznie – bagatela! – sześćdziesiąt kilogramów.

Była też mniejsza siostra dużej niebieskiej beczki, czyli mała niebieska beczka. Również wykonana z plastiku i także zamykana czarnym dekielkiem, który w miejscu zaciskała stalowa obręcz. Jedynym, co różniło obie beczki poza pojemnością, były uchwyty do przenoszenia, których brakowało dużej beczce – jakby z góry było ustalone, że nią należy turlać po ziemi. We wnętrzu małej beczki znalazły się artykuły luksusowe, czyli takie, które szybciej się psują i którymi regularnie trzeba zarządzać. Były to ziemniaki, marchewki, jabłka, banany, ser żółty i mleko.

Do wielkiego wodoodpornego worka trafiły namiot, śpiwory i odzież. Zabrakło karimat lub materacy, co było pierwszym z błędów, jakie popełniliśmy w przygotowaniach. Zwyczajnie o nich zapomnieliśmy i karą, jaką mieliśmy ponieść za to drobne uchybienie, będzie 55 nocy spędzonych na matach do jogi – jedynym dostępnym w Hay River produkcie, który wyglądem przypominał materac. W ten sam wór trafiła też apteczka i kosmetyczka. Pierwsza mieściła w sobie standardowy szereg

bandaży wzbogacony o kilka najważniejszych antybiotyków o szerokim spektrum działania. Natomiast kosmetyczka była skromna – szczoteczki do zębów, mydło biodegradowalne i ziołowa pasta do zębów, której producent zapewniał zgodę ze środowiskiem. Resztę klamotów uzupełniał biały wodoodporny worek z kuchnią oraz plecak z elektroniką, lornetką i przewodnikiem po regionie Dehcho autorstwa Michelle Swallow.

Tuż przed południem Doug dostarczył nam nasze żółte canoe wraz z wiosłami. Właściwie to nawet go nie widzieliśmy. Zajęci byliśmy sortowaniem ekwipunku na plaży, kiedy Doug po prostu zrzucił Trippera pod budynkiem recepcji. Menedżerowi przekazał krótko, że to dla dwójki z Polski. Pozostało nam zatem jedynie przenieść canoe na plażę i załadować wszystko do środka.

Dzień był bezwietrzny. Czekoladowa tafla jeziora, zafarbowana przez osad z wpadającej do niego rzeki Hay, odbijała w sobie leniwie sunące po niebie cumulusy. Po plaży spacerowała młoda Amerykanka z Chicago, która z zaciekawieniem przyglądała się naszym ruchom, podkręcając palcem czarne loki. Po chwili podeszła do nas i zadała nam kilka standardowych pytań z serii „skąd jesteście i dokąd płyniecie”. Z lasu wyłonił się jej mąż, dwójka dzieci i wiklinowy kosz z piknikiem. Ten ostatni skutecznie odwrócił od nas jej uwagę. Hamburgery i truskawki ze śmietaną. Tylko jak tu jeść, kiedy non stop trzeba klepać się po czole i szyi, odganiając komary?

Zrobiliśmy sobie zdjęcie w miejscu startu z wiosłami skrzyżowanym w powietrzu niczym szablę przed bitwą. Spojrzeliśmy na siebie na znak, że już można przejść do ostatniego etapu. Nogawki podwinięte do kolan. Ślizgiem po piasku canoe łąduje na jeziorze. Woda zimna jak lód, więc trzeba się streszczać. Beczka, beczka, wór, wór, wiosło, wiosło i już. No, nie do końca. Canoe przechyla się do boku, jakby uderzyło burtą w górę lodową. Poprawka. Beczka na ląd. Wory na ląd. Spacer farmera. Obrót i drugie podejście. Siedzi. Stopy jak bryły lodu, z czoła struga potu, a wokół szyi szalik z komarów. Wsiadamy do środka. Karolina z przodu. Przed jej oczami tylko horyzont. Wiosłujemy, ale nie płyniemy. Stoimy w miejscu. Siedzimy na piasku. Wychodzę do wody. Popycham do przodu. Jedna noga wraca. Druga noga odpycha się od dna jak na hulajnodze. Wreszcie siadam. Dźgamy jezioro wiosłem jak widłami w gnój. Dwa metry od brzegu. Cztery metry. Chwiejemy się na boki. Czterdzieści metrów. Robi się głęboko. Canoe skręca w lewo. Canoe skręca w prawo. W kajaku skręcało się łatwiej. Tu wiosłuje się tylko z jednej strony. Tu ważymy ponad 300 kilogramów. Sto metrów za nami. Brzeg się oddala. Odpłynęliśmy. Potrzebny zwrot o 90 stopni na zachód. Tam mamy płynąć. Tam czeka Dehcho. Dźgamy z prawej oboje. Chłapiemy wodą jak kaczki. Zwrot o 90 stopni. Canoe dalej skręca. Zwrot o 180. Za mocno. Ktoś macha do nas z brzegu. Ignorujemy. Dźgamy oboje z lewej. Obieramy kurs. Jedno wbija widły z lewej, drugie

wbija widły z prawej. Na przemian działa lepiej. Z góry skrzeczy mewa. Dopinguje? Chyba się śmieje. Dalej płyniemy zygzakiem, ale w dobrym kierunku. Zatopiona kłoda! Zwrot! Znowu za mocno. Poprawka na obranie kursu. Pierwszy kilometr za nami. Pierwsza godzina za nami. Obydwoje czujemy, że przydałoby się odpocząć. Zmęczyliśmy się. Przystajemy wiosłować. Dryfujemy. Karolina zgłodniała. Rzucam jej batona. Chce mi się siku. Niedobrze. „Daleko chyba będzie do tego oceanu” – pomyślałem. Kontruję pozytywnymi myślami. Mamy czas. Pogoda sprzyja. Jeszcze się nauczymy. To dopiero początek. Jeszcze złapiemy rytm. Grunt to słuchać tego, co mówi do nas Północ.

Z każdym kilometrem idzie nam coraz lepiej. Płyniemy w miarę prosto, zmieniając regularnie stronę wiosłowania. Kiedy ja wiosłuję z lewej, Karolina wiosłuje z prawej. I tak na przemian. Warunki sprzyjające, choć podwójne słońce daje się nam we znaki. Jedno pali z góry, drugie oślepia, odbijając się od tafli wody. Trzymamy się dwa, czasami trzy kilometry od brzegu, skracając sobie rozlewające się w głąb lądu zatoki. Patrząc z prawej, widzimy ocean. Jak okiem sięgnąć ani skrawka lądu. Gdzieś tam na środku tego oceanu, dalej, jest lód. Z lewej brzeg jest jednolity. Regularna linia świerkowego lasu, która łączy się z wodą poprzez sterty drewna ułożone niestarczanie jak bierki wyrzucone z pudełka na dywan. W powietrzu unosi się delikatny rybi zapach, ale żadna z ryb nie odważy się

pluskać przy powierzchni w tak ciepły dzień. Ryby cały rok mają wybór, wiedząc, że na dnie czeka je komfortowa woda o temperaturze czterech stopni.

Tego dnia dajemy z siebie wszystko. Dopływamy do Point la Roche tuż przed północą. Zrobiliśmy 26 kilometrów. Chcieliśmy tu dotrzeć. To ten sam niewielki półwysep, na którym swój inauguracyjny dzień zakończyła Michelle Swallow. Słońca już co prawda nie widać, ale nie zajmie mu dłużej niż godzinę, żeby na powrót wzbić się ponad horyzont. Obolali schodzimy na ląd, a przecież to nie koniec obowiązków na ten dzień, nawet jeśli zmieniła się data w kalendarzu.

Rozładowujemy klamoty jeden po drugim. Komary tną z każdej strony, więc czym prędzej naciągamy na głowy siatki. Szukam miejsca na namiot, szurając bosymi stopami po zimnym piasku. Dużym palcem u nogi, niczym pędzlem, zaznaczam dwa krzyżyki. Tu będą głowy. Karolina w tym czasie zbiera drewna. Trudno jej znaleźć patyki. Większość to kłody i konary, które nagromadziły się po latach spływów z Gór Skalistych. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i skąd przybyły, ale nie są u siebie. Leżą wypłukane z koloru i choć ich życie dawno przeminęło, to stały się kluczowe dla życia innych. Dla bobrów budujących tamy. Dla ich braci świerków, które chronią od erozji ze strony jeziora.

Namiot stoi. Zbiera powoli krople rosy na tropiku. Ogień też już płonie. Ogrzewa nam zimne stopy. Opala kiełbaski na niedbale ostruganych oszczepach. Dym

przegania komary, a właściwie przesuwają delikatnie ich strefę komfortu. Canoe leży nieopodal obrócone do nocnego spoczynku tak, jakby samo musiało odpocząć przed kolejną wartą na wodzie. Słońce powoli zaczyna wznosić się nad horyzont. Woda mieni się na pomarańczowo. Czas spać, ale szkoda nam zmarnować na sen zarówno ten moment, jak i kilka kolejnych.

Znikąd wynurza się spod wody para nurów. Na tle słońca widać tylko czarne sylwetki odpowiadające ich kaczkopodobnej, acz dużo bardziej smukłej, posturze. Nury dają głos. Najpierw wyją jak wilki. Wyją, jakby bawiły się głosem, jakby chciały coś nam przekazać. W drugim akcie krótkie, wysokie tony przeplatają się ze sobą, przypominając bawarskiego tenora. Potem cichną. Zanurzają się pod wodę i już ich więcej nie widać. Przemineły, ale były. I to w byciu, w mimowolnym akcie przeżywania chwili, znalazły pierwiastek, którego nie znajdziemy na tablicy Mendelegiewa. To Sm. Szczęśliwy moment.

Jak powstaje tak wielkie jezioro jak Niewolnicze? Jezioro tak duże, że bez trudu wypełniłoby wodą każdą wannę na świecie? Czy to rewolta atomów tlenu i wodoru? Czy to może lodowiec, który stopił się ze wstydu pod przenikającym go spojrzeniem Słońca? I kto tu jest niewolnikiem? Ziemia, którą nadzoruje woda czy woda, którą kontroluje ziemia?

10 tysięcy lat temu kończyła się epoka lodowcowa znana jako Zlodowacenie Wisconsin. Grube na kilka kilometrów lodowce sięgały swoimi jezorami daleko na południe, lizały aż do dzisiejszej granicy stanów Montana i Nebraska. Topniejąc, zostawiły za sobą wiele śladów, które ukształtowały geografie znanej nam dziś Kanady⁴.

Topnienie lodowców odbywa się na największą skalę pod ich powierzchnią, w miejscu styku z ziemią. Cofające się lodowce kruszą pod sobą skały w wyniku nacisku i kumulującego się od spodu osadu. Przychodzi moment, w którym lodowiec, choć dalej gruby na kilkadziesiąt metrów, kryje pod sobą cały system rzek rwących w lodowych ciemnościach. Podziemne rzeki tworzą pod lodowcem charakterystyczne wcięcia, które przesuwa-
jąc się, gromadzą hałdy piasku. Te niezwykle formacje znane są pod nazwą ozów. Ozy można zaobserwować w Polsce na terenie Mazur, jednak te pozostawione przez Zlodowacenie Wisconsin należą do najbardziej spektakularnych. Patrząc na północną Kanadę na zdjęciach satelitarnych, z łatwością można zaobserwować, w którą stronę przemieszczały się cofające się lodowce.

Erozja skał i baśniowe ozy to tylko produkty uboczne końca epoki lodowcowej. Lodowce przede wszystkim zostawiły po sobie wodę. Ogrom wody, który musiał

4 L. Clayton & S. R. Moran, *Chronology of late Wisconsinan glaciation in middle North America*, „Quaternary Science Reviews”, 1 (1), 1982.

znaleźć gdzieś ujście. I znalazł, m.in. na granicy uskoku tektonicznego, gdzie liczące sobie dwa i pół miliarda lat skały metamorficzne z kratonu Slave spotykają się z młodymi skałami granitowymi liczącymi około 350 milionów lat. W tym właśnie miejscu, na obrzeżach tego, co geologom znane jest jako Tarcza Kanadyjska, znajdowała się głęboka na 600 metrów niecka, którą w całości wypełniła polodowcowa woda. Dziś ten fragment Wielkiego Jeziora Niewolniczego znany jest jako Christie Bay. Do tej pory nikt nie prowadził misji naukowej, która zbadałaby najciemniejsze głębiny jeziora⁵.

Lodowce wywierają ogromny nacisk na elastyczną część płaszcza skorupy ziemskiej znaną jako Moho. Warstwa ta delikatnie ugina się pod ciężarem lodowców, podobnie jak napięcie powierzchniowe wody ugina się pod ciężarem spadającej kropli deszczu. W tej mikroskali, tuż po tym jak kropla rozplynie się w wodzie, napięcie powierzchniowe zaczyna się uwypuklać. Podobnie zachowuje się skórzany fotel, którego obicie wgnieciemy mocno palcem. W geologicznej makroskali lodowce stopniały z prędkością światła, jednak gęsty płaszcz skorupy ziemskiej potrzebuje więcej czasu na reakcję. Dlatego właśnie na północy Kanady, na obszarze, który zajmowały niegdyś lodowce, możemy

5 E. Carmack & S. Vagle, *Thermobaric processes both drive and constrain seasonal ventilation in deep Great Slave Lake, Canada*, „Journal of Geophysical Research: Earth Surface”, 126 (12), 2021.

zaobserwować tzw. odwet polodowcowy. W konsekwencji, każdego roku tereny te rosną o kilka centymetrów. Jest to szczególnie charakterystyczne dla Barren Lands, ale i w Europie możemy podziwiać krajobraz przejawiający te same cechy. Hoga Kusten w Szwecji, na wybrzeżach Zatoki Botnickiej, doświadcza takiego samego odwetu.

Drugiego dnia pokonaliśmy zaledwie sześć kilometrów na jeziorze. Obolałe mięśnie odmawiały nam posłuszeństwa. Fale znacząco przybrały i jakoś tak wspólnie stwierdziliśmy, że nie ma co pchać się na siłę do przodu. Dopiero wieczorem w namiocie dotarło do nas, że nie możemy sobie pozwolić na taki brak higieny myślenia. Nie możemy wiosłować tylko wtedy, gdy mamy na to ochotę. Naszym jedynym zadaniem każdego dnia jest wsiąść w canoe i przesuwać je do przodu jak pionek po szachownicy. W przeciwnym razie nie będzie nam dane ujrzyć wód Oceanu Arktycznego.

Trzeci dzień wyprawy rozpoczęliśmy pod znakiem silnej mobilizacji. Na jeziorze panowała absolutna cisza, przerywał ją jedynie dźwięk dalekiego trzepotu skrzydeł wzbijającego się do lotu stada uhl. Jeszcze przed południem dopłynęliśmy do Point Desmaris, który wyznaczały dwie kilkumetrowe bojki. Oficjalnie to tutaj kończy się Wielkie Jezioro Niewolnicze, a zaczyna się Dehcho. Ale nurt rzeki dostrzegliśmy dopiero kilka

kilometrów dalej. I wtedy poczuliśmy się wybawieni. Odłożyliśmy wiosła, ułożyliśmy nogi na burtach i położyliśmy się na plecach, a canoe dryfowało. Nie robiliśmy nic, zupełnie nic, a jednak świerki ślizgały się przed naszymi oczami jak tło w starych westernach. Pierwszy raz poczuliśmy, co to nurt. Nie był silny, raptem trzy-cztery kilometry na godzinę. Ten moment dał nam jednak wiarę, że nie zawsze będzie trudno, że Dehcho pomoże nam dotrzeć do celu, jeśli tylko wsłuchamy się w jej oddech.

Radość nie trwała jednak długo. Na początku swojego biegu Dehcho rozlewa się na dwa wielkie jeziora. Pierwsze, Beaver Lake, jest niesłychanie płytkie. Raz po raz musieliśmy odpychać się wiosłami od dna jak gondolierzy na weneckich kanałach. W Wenecji jednak nie zobaczymy dwumetrowych szczupaków, które tu bez cienia strachu podpływały do obu burt canoe. Według legendy rdzennych mieszkańców Dene, ten fragment Dehcho nie powstał przypadkowo. Bóbr gigant, znany Dene jako Tsà, przepływał niegdyś w poprzek Dehcho. Napotkał złowrogie siły, które zwalczył, uderzając ogonem o powierzchnię rzeki. Ciosy były tak silne, że rzeka rozlała się po okolicy i tak powstało Beaver Lake.

Drugim, jeszcze większym jeziorem, jest Mills Lake, które poszerza Dehcho nawet do szesnastu kilometrów. Przed tym jeziorem ostrzega przewodnik Michelle. Woda jest płytka, teren bardzo otwarty, a brzeg porastają wysokie trawy i mokradła. Przy złej pogodzie

i silnych wiatrach taka kombinacja potrafi przerodzić na pozór spokojny akwen w ocean straszący białymi falami i brakiem możliwości zejścia na ląd.

Widząc chmury burzowe zbierające się na horyzoncie, uwijaliśmy się jak mrówki, żeby jak najszybciej zostawić Mills Lake za sobą. Ostatecznie burza przeszła bokiem, a my dotarliśmy do obozu wczesnym popołudniem. W dole rzeki, w oddali, widzieliśmy z naszego namiotu jedyny most zbudowany na Dehcho – część drogi krajowej łączącej Yellowknife, stolicę Terytoriów Północno-Zachodnich, z resztą świata. Kawałek dalej szumią bystrza Providence, a tuż za nimi osada Fort Providence stanowi dom dla siedmiuset mieszkańców. Wizytę woleliśmy odroczyć do jutra, aby o świeżych siłach przepłynąć przez bystrza i móc zrobić niewielkie zakupy w sklepie spożywczym.

Tego wieczoru nasz namiot rozbiliśmy raptem metr od rzeki, na niewielkim placu zieleni otoczonym z każdej strony świerkami. Wąska ścieżka prowadziła w głąb lasu i zapraszała do wieczornego spaceru. Po całych dniach spędzonych w pozycji siedzącej nie mogliśmy sobie odmówić okazji do rozruszania nóg, nawet jeśli oznaczało to towarzystwo nieznośnych komarów.

Nie uszliśmy nawet stu metrów, kiedy nad naszymi głowami przeleciał piszczący pterodaktyl. Usiadł na gałęzi, pochwycił ją szponami wielkości moich palców i krzywił białą głowę z masywnym, żółtym dziobem. Zupełnie niechcący wkroczyliśmy na teren gniazdującej

pary bielików amerykańskich. Pewnym krokiem ruszyliśmy przed siebie, starając się zaoszczędzić orlim rodzinom stresu wynikającego z naszej obecności.

Las zaczął się przerzedzać, a wąska, leśna ścieżka szybko zamieniła się w szutrową drogę z widokiem na przebiegające tędy słupy sieci elektrycznej. Na jednym z pali wypatrzyłem koronę z chrustu przypominającą gniazdo. Chwyciłem lornetkę, a moim oczom ukazała się głowa drapieżcy w masce Zorro. Była to samica rybołowa czekająca w gnieździe, aż jej partner wróci z rybobrania. Te fantastyczne ptaki migrujące, które spotkamy na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy, żywią się wyłącznie rybami.

Chcieliśmy wyczekać z Karoliną moment, w którym samiec wróci do gniazda z soczystym pstrągiem. Zamieniliśmy się na stanowisku lornetką, a samica rybołowa wyraźnie zaczynała się niecierpliwić. Karolina podała mi lornetkę akurat w momencie, kiedy pani rybołów zatrzepotała skrzydłami i stanęła na brzegu gniazda. Byłem pewien, że samiec zjawi się lada moment. Wtedy kątem oka odnotowałem ruch na peryferiach wzroku. Głowa pomyślała najpierw, że to pewnie ludzie spacerujący po okolicy. Ale zaraz – jacy ludzie? Tu nie ma ludzi. Spojrzałem w prawo. Karolina dalej oglądała rybołowy, a ja, bez odwracania głowy w jej kierunku, wyszeptalem: – Choćby nie wiem co, zachowaj spokój, ale jak spojrzysz teraz w prawo, zobaczysz dwa czarne niedźwiedzie idące prosto w naszą stronę.

– Żartujesz?

Nasze dłonie momentalnie powędrowały na wiszące na naszych paskach od spodni zawleczone od sprejów na niedźwiedzie. Jednym ślizgiem kciuka odbezpieczyliśmy je. Wyciągnąłem z kieszeni racę hukowe. Karolina podała naboje. Niedźwiedzie, oba podobnych rozmiarów – wielkości Fiata 125p – dalej maszerowały w naszą stronę. Były jakieś trzydzieści metrów od nas i żaden nie przejawiał oznak agresji. Wydawało nam się, że wciąż nas nie widzą. Głowy miały skierowane do ziemi, a ich nosy wydawały się ciężko pracować, jednak nie mogły łatwo nas wyczuć, jako że wiatr powiewał od nich w naszą stronę. Zaczęliśmy cofać się tyłem, nie spuszczać baribali z oczu. One dalej człapały w naszym kierunku, zmniejszając dystans do kilkunastu metrów. Załadowałem racę hukową i odpaliłem ją w stronę nieba, zwalniając sprężynę w wyrzutni przypominającej zwykły długopis. Nabój leciał przez kilka sekund, po czym huknął, rodząc niebywałe echo. Niedźwiedzie stanęły w miejscu. Jeden zwrócił głowę ku drugiemu jakby pytał o poradę. Wyraźnie potrzebowały pomocy w decyzji. Załadowałem drugi nabój. To samo. Strzał w górę, huk, echo. Tym razem jednak doczekaliśmy się oczekiwanej reakcji. Niedźwiedzie odwróciły się na piętach, mało nie uderzając w siebie głowami, i pognały przed siebie, ile sił w nogach. Biegły i biegły aż znikły w zaroślach. Więcej już ich co prawda nie widzieliśmy, ale sen tej nocy nie znalazł mnie łatwo.

Na Północy występują trzy gatunki niedźwiedzi: polarne, grizzly i baribale. Te ostatnie nazywane są też niedźwiedziami czarnymi, choć przymiotnik ten potrafi być mylący. Kolor ich futra przybiera wszystkie odcienie czerni i brązów. Niezwykle rzadkie baribale, nazywane niedźwiedziami duchami, kolor futra mają tak biały jak niedźwiedzie polarne. To вина zastąpienia pojedynczego genu, który powoduje wytwarzanie adeniny, a nie guaniny. Kiedy oboje rodzice wnoszą ten recesywny gen, efektem jest białe futro.

Baribale występują od Meksyku po Kanadę, a ich północny limit terytorium wyznacza granica występowania drzew. Te wszystkożerne ssaki dość często wdają się w konflikt z ludźmi. Z punktu widzenia baribala człowiek jest zbyt mały, żeby stanowić dla niego zagrożenie, jednocześnie zbyt duży, żeby uważać go za potencjalną ofiarę. Dlatego właśnie baribale przejawiają „przyjacielskie” zachowanie względem ludzi i niechętnie schodzą z drogi.

W przypadku napotkania agresywnego baribala, człowiek musi jasno zaznaczyć swoją dominację. Najlepiej racą hukową. W drugiej kolejności – jeśli zajdzie potrzeba – należy użyć spreju zawierającego duże ilości kapsaicyny, działającego podobnie do gazu pieprzowego. W ostatniej instancji, kiedy kontakt jest nieunikniony, z baribalem trzeba próbować walczyć wręcz. Śmiertelne wypadki zdarzają się niezwykle

rzadko. W czasie wypraw zawsze uważam, że najlepsze niedźwiedzie to te, których nie widać. I faktycznie, większość niedźwiedzi ucieka w dal, jak tylko wyczuje swoim superczułym nosem obecność człowieka.

Protokół względem spotkań z niedźwiedziami grizzly jest nieco inny. Grizzly są dużo większe i dużo bardziej nieprzewidywalne od swoich czarnych kuzynów. One także mają tendencję do schodzenia ludziom z drogi, jednak wypadki z ich udziałem zdarzają się częściej, szczególnie w miejscach, gdzie ich terytorium za bardzo pokrywa się z działalnością człowieka. Przykładem jest tu Park Narodowy Banff, który rok w rok odwiedzają tysiące turystów, a który stanowi dom dla blisko 700 niedźwiedzi grizzly. W przypadku bezpośredniego kontaktu człowiek nie ma szans z ważącym blisko pół tony niedźwiedziem. Jeśli zawiodą race i spreje, co zdarza się niezwykle rzadko, pozostaje jedynie położyć się na ziemi na brzuchu z rękami i nogami rozłożonymi jak gwiazda, aby uniknąć bycia obróconym przez niedźwiedzia.

Ostoją grizzly jest dziś pas biegnący od Alaski po Zatokę Hudsona. Niedźwiedzie te straciły już większość swojego byłego terytorium na południe od granicy Kanady. W Kalifornii, która w swojej fladze ma wizerunek grizzly, żywego niedźwiedzia nie widziano od 1924 roku. Wystarczyło 200 lat, by wyginęły całkowicie na skutek polowań organizowanych przez kolonialnych osadników. Historycznie niedźwiedzie grizzly

występowały nawet w Meksyku. Dziś, najdalej na południe, populacje grizzly znajdziemy w Parku Narodowym Yellowstone.

Ostatnie z niedźwiedzi Północy to wielbiciiele lodu i foczego tłuszczu, czyli niedźwiedzie polarne. Terytorium, jakie zajmują niedźwiedzie polarne, nigdy nie pokrywało się z geografą żadnej z naszych wypraw. To celowy zabieg, bowiem z niedźwiedziami polarnymi nie ma żartów i ich obecność wymaga całkowicie innych przygotowań i zachowań. Pośród sprzętu wyprawowego pojawia się broń, noce przerywać trzeba wartami, a w wypadku konfrontacji niedźwiedź rzadko kiedy uchodzi z życiem. Należy pamiętać, że ten największy z lądowych drapieżników jest pod ogromnym środowiskowym naciskiem wywołanym przez zmiany klimatyczne. Lodu na morskich wodach Arktyki jest coraz mniej, a bez lodu niedźwiedzie polarne nie są w stanie polować na foki. Naukowcy zauważają wśród nich tendencje adaptacyjne. Niedźwiedzie polarne wykształciły nowe techniki polowań na białuchy – niewielkie wieloryby, które rozmnażają się w okolicach ujść arktycznych rzek. Każdego roku odnotowuje się też przesunięcie granicy w głębi lądu, gdzie zapuszczają się niedźwiedzie polarne w poszukiwaniu pożywienia. Nie tylko prowadzi to do konfliktu z ludźmi, ale też z niedźwiedziami grizzly, które zaciekle bronią swoich terytoriów. Co ciekawe, wypatrzone w naturze już kilka osobników niedźwiedzi grolarnych, czyli hybryd

powstałych w wyniku mieszania się niedźwiedzi grizzly z polarnymi.

Pewnego razu poznałem amerykańskiego wiosłarza z Portland o imieniu Lee. Był on prawdopodobnie jedną z najbardziej doświadczonych osób w zakresie wypraw na Północ. Z minionych 44 lat 43 razy spędził lato na Północy, podejmując się subarktycznych ekspedycji. Jedną z nich była przeprawa kajakowa z Chesterfield Inlet do Gjoa Haven w Nunavut wzdłuż wybrzeży Zatoki Hudsona i Oceanu Arktycznego. W wyprawie towarzyszył mu jego przyjaciel Sam.

W okolicach zatoki Wager byli zmuszeni dokonać kilkunastokilometrowej przeprawy. Zatoka Hudsona znana jest z gigantycznych pływów i żeby uniknąć zepchnięcia na otwarte morze przez zbliżający się odpływ, Lee i Sam wiosłowali z całych sił. Kiedy dotarli wreszcie na suchy ląd, byli tak wykończeni, że ostatkiem sił postawili namiot. Porywisty wiatr utwierdził ich w decyzji, że nie będą w stanie gotować i na czczo padli prosto do środka spać. Każdej nocy zasypiali z bronią między nogami, jednak tym razem strzelba została w przedsionku.

Nad ranem Lee wyrwał ze snu krzyk Sama. Kiedy otworzył oczy, zobaczył jak jego przyjaciela – leżącego na brzuchu, wydzierającego się wniebogłosy – ciągnie za nogi szarobiąły niedźwiedź polarny! Lee błyskawicznie oprzytomniał. Szeleszczący namiot walił mu się na głowę, co utrudniało znalezienie suwaka. Kiedy

go wymacał, ten zaciął się na amen. Lee rozpruł scyzorykiem namiot, sięgnął po strzelbę i wyczołgał się z namiotu jak żołnierz w koszarach. W ułamku sekundy obrał cel – głowa niedźwiedzia, która w tym momencie szarpała nogę Sama. Nie ma czasu na myślenie. Strzał! Niedźwiedź puszcza Sama i ryczy. Drugi strzał! Trzeci strzał! Niedźwiedź próbuje odbiec, ale pada po kilkunastu sekundach. Lee biegnie do Sama. Jakimś cudem poza krwawiącą kostką i podziurawionym polarem nic mu nie jest. Kiedy Lee podchodzi ostrożnie do niedźwiedzia, ten wydaje z siebie ostatnie tchnienie.

Zgodnie z prawem Kanady można zastrzelić niedźwiedzia polarnego w ramach samoobrony, ale prawo stanowi, że trzeba ten fakt niezwłocznie zgłosić do ministerstwa środowiska. Lee wyciągnął więc z plecaka telefon satelitarny, rozwinął antenę i zadzwonił do przyjaciela, prosząc o namiary do ministerstwa. Kolejny telefon połączył go z jegomościem siedzącym gdzieś w biurowcu w odległej Ottawie.

– Chciałem zgłosić, że zastrzeliłem niedźwiedzia polarnego w zatoce Wager w terytorium Nunavut – poinformował Lee.

– Że co pan zrobił? – zaatakował głos po drugiej stronie.

– Proszę pana, mój przyjaciel został dosłownie wyciągnięty przez niego z namiotu. Nie miałem w tej sprawie wyboru.

– Rozumiem, rozumiem. Proszę poczekać – słuchawka

jakby została odłożona, choć satelitarny abonament nie przestawał naliczać. – Halo! Jest tam kto dalej na linii?

– Jestem – przytaknął Lee.

– Zgodnie z prawem federalnym w zaistniałej sytuacji rząd Kanady przyśle helikopter po skórę. Jednak to pan musi ją zedrzeć z niedźwiedzia.

– Z całym szacunkiem, ale nie jestem w stanie sprostać tym wymaganiom.

– A to niby dlaczego?

– Dlatego, że mam przy sobie jedynie scyzoryk.

Rząd Kanady ostatecznie wysłał helikopter nad zatokę Wager i zabrał niedźwiedzia w całości. Lee i Sam kontynuują odkrywanie zakamarków Północy, choć nie zapuszczają się już na terytoria zamieszkałe przez niedźwiedzie polarne.